KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Dr. Michał Żmigrodzki: *Lud Polski i Rusi wśród Słowian i Aryów. Księga I. Obrzędy weselne.* Kraków, 1907.

Każdy, komu na sercu leży rozwój folkloru polskiego, z radością weźmie do ręki książkę dra Żmigrodzkiego w nadziei, że znajdzie tam syntezę tego, co dotychczas jest rozprószone w licznych artykułach i monografiach cząstkowych, a radość jego wzrośnie, gdy na końcu przedmowy przeczyta, jakie to jeszcze działy autor obiecuje opracować. Doczekamy się więc niedługo dzieła, które otworzy nowy okres w historyi naszych badań ludoznawczych! Niestety, już przy czytaniu idącego po przedmowie wstępu, zapał czytelnika słabnie, natomiast coraz bardziej wzrasta uczucie zawodu i rozczarowania tak, że po przeczytaniu książki rodzi się żal, że autor, poświęciwszy na jej napisanie tyle pracy i dobrych chęci, ogromnie obniżył jej wartość i to w znacznej części „z dobrawoli", jak lud nasz mówi. Gdyby autor, jak to sam pisze, zadowolnił się tylko zestawieniem materyału i powstrzymał się od wszelakich uwag charakteru etnologicznego mimo, że ich całe szeregi gwałtem mu się cisnęły, a dodam też od siebie, gdyby tego zestawienia materyału dokonał systematycznie i porządnie, książka jego miałaby niepoślednią wartość. Tymczasem widocznie autor ma słuszność, pisząc, że ogromna część jego pracy stworzyła się sama bez jego woli — możnaby powiedzieć, wbrew jego woli, co właśnie — znowu dodaję od siebie — odbiło się bardzo niepomyślnie na samej pracy. Autor więc, zapewne wbrew woli, nie powstrzymał się od wypowiadania uwag charakteru etnologicznego, a to zmusza mię przedewszystkiem do oceny jego zasadniczego stanowiska naukowego.

Według dra Żmigrodzkiego, można postawić cztery epoki pokarmowe dla starożytności etnologicznych: w pierwszej epoce swego roz-

woju człowiek żywił się owocami, korzonkami ziół i surowem lub wpół upieczonem mięsem. To jest pierwsza epoka surowego pokarmu. Z niej idą najstarsze tradycye ludzkości: o Bogu, o raju, o złotym wieku, o nieposłuszeństwie Bogu i w ogóle o grzechu, który poszedł od szatana, przeciwnika Boga". Jeżeli nawet pominiemy dotychczas niestwierdzone przypuszczenia o istnieniu człowieka w okresie trzeciorzędowym i ograniczymy się tylko do epoki czwartorzędowej, a zestawimy to, co dr. Żmigrodzki pisze, z obrazami odtworzonemi na podstawie licznych wykopalisk, uderzy nas olbrzymia różnica. Wykopaliska te nas uczą, że im dalej cofamy się w przeszłość, tem nędzniejsze życie prowadził człowiek, tem ciężej mu było zdobywać środki żywności, tem więcej niebezpieczeństw zewsząd go otaczało, tem mniej był rozwinięty umysłowo; dr. Żmigrodzki twierdzi, że ziemia była dla niego rajem, a duch ludzki wzniósł się aż do zrozumienia jedynobóstwa i takiego ustalenia dogmatów religijnych, iż te już nigdy nie wygasły w zupełności, lecz przechowane zostały w postaci tradycyj ludowych aż do dnia dzisiejszego. Ta zasada dra Żmigrodzkiego jest jego artykułem wiary, ale nie przekonaniem, opartem na badaniach naukowych; jest to jego tezą, ale nie syntezą; pragnie on tej tezy dowieść w szeregu prac archeologicznych a obecnie i w tej etnologicznej, ale robi to w sposób, który w nauce nosi miano nakręcania faktów według widzimisię badacza. Nie chcę tu powiedzieć, aby dr. Żmigrodzki przekręcał fakty, nieraz jednak opacznie je tłumaczy. Tak np. w jednej z prac archeologicznych wielkie symboliczne znaczenie przypisuje temu, że patryarcha Jakób, błogosławiąc synów Józefa, przełożył na krzyż ręce, gdy tymczasem owo przełożenie rąk musiało nastąpić z przyczyn zupełnie naturalnych: Józef, przyprowadziwszy synów do łoża Jakóba, postawił ich tak, aby Jakób mógł prawą rękę położyć na głowie starszego, lewą zaś na głowie młodszego; ponieważ zaś Jakób chciał dać większe błogosławieństwo młodszemu, musiał skrzyżować ręce, by dłoń prawą położyć na jego głowie. Podobnie fałszywych tłumaczeń w zastosowaniu do zwyczajów i obrzędów ludowych znajdziemy dość i w książce niniejszej, a występują one zawsze tam, gdzie jakiś fakt przemawia przeciwko z góry powziętemu przez autora poglądowi.

Dopiero w drugim okresie rozwoju ludzkiego człowiek według autora zaczyna się organizować społecznie, „wiążąc ściślejsze związki rodzinne wokoło ogniska w namiocie, przy trosce o wspólną własność, z myślą o potomstwie. Tu początek tradycyj rodzinnych". Zdaje się przeto, że autor nie uznaje i starania rodziny w okresie pierwszym; czyżby dlatego okres ten nazywał rajskim? Otóż w owym drugim okresie człowiek zaczął odbudowywać stracony raj serca, znajdując szczęście w pracy. Był to okres hodowli zwierząt; podstawą materyalną ówczesnego życia było mleko, masło ser — jego treścią duchową były dzieci. Następuje potem przechodnia trzecia epoka kaszy, kiedy człowiek już się osiedlił na jednem miejscu i począł orać glebę. „Była to epoka, w której rodzinne związki przy osiedlaniu się coraz więcej się zacieśniały, trzeba było wyrobić jakieś stałe formy i symbole dla nich i wtedy to dogmatyzuje się wszelki rytuał obyczajowo religijny". Autor twierdzi

tak na zasadzie, że „nie spotkamy niemal jednej tradycyi rodzinnej, w rytuale której nie grałaby bardzo ważnej roli kasza". Kasza więc jest podstawą tej chronologii, według której rytuał nie wytwarzał się nieustannie od czasów najdawniejszych, symbole nie wyrosły z czynności, pierwotnie mających nie symboliczne, ale realne znaczenie, wypływające z praktycznych wymagań życia, lecz wszystko to zostało utworzone umyślnie i sztucznie. Nareszcie nastaje okres żarek i młynów, czwarta epoka chleba, i co się dalej dzieje, posłuchajmy słów samego autora: „Młyn również jest świadectwem, wcale już nie pierwotnych stosunków społecznych, młyn nie może istnieć bez okolicy, pożądającej lepszego pieczywa. Że zaś z rozwojem stosunków społecznych głowa pierwotna, że tak powiem, bezwiedna poezya, do dziedziny której należy bezwarunkowo wszelka symbolika, wszelki rytuał religijny i obyczajowy, wskutek tego możemy zaledwo tu i owdzie wskazać na jakiś obyczaj, o którym moglibyśmy stanowczo powiedzieć, iż on był wyrobiony już w ostatniej epoce". Wszystkiemu więc ten nieszczęśliwy młyn był winien! Dziwna rzecz jednak, że autor, przypisując tak wielkie znaczenie kaszy, zapomina tu znowu o chlebie obrzędowym, o jego przygotowywaniu, o różnych korowajach, o których tak szeroko rozpisuje się w pierwszych kilku rozdziałach. Ale jest jeszcze jeden najnowszy okres twórczości ludowej: od wprowadzenia chrześcijaństwa do wieku XVI, kiedy to zaczęło się rozpowszechniać użycie tytoniu! Dlaczego tytoń tu przejmuje tę rolę, którą niegdyś miał odgrywać, tego nam autor wyraźnie nie wyjaśnia, napomyka tylko, że przecież w starych rozwalonych młynach djabeł tabakę miele. W końcu tego rozdziału a zarazem i książki autor wygłasza bardzo rozumne zdanie: „Jeżeli archeolog powinien być bardzo ostrożnym w swej klasyfikacyi, to etnolog winien być przy swojej pracy dziesięć razy ostrożniejszym". Święta prawda! Szkoda tylko, że autor doszedł do niej już post festum. Inaczej nie przyplątałby tu tytoniu, a może natomiast powiedział by co o piwie i zwłaszcza wódce, która podobnie jak chleb, a więcej niż tytoń, ważną odgrywa rolę nie tylko na uczcie weselnej, ale i w samych weselnych obrzędach, szczególnie na omówinach i zaręczynach.

Wracając jednak do zasadniczego stanowiska autora, musimy je określić, jako nie licujące już zupełnie z dzisiejszym poziomem nauki. Autor bowiem jest przekonania, że człowiek ze stanu błogosławionej prostoty, upiększonej bezwiedną poezyą i szczęściem rajskiem, potem wychodzi, i zamiast się doskonalić, ulega demoralizacyi. Wracają więc w książce dra Żmigrodzkiego marzenia utopistów wieku XVIII, wyrosłe pod wpływem poglądów Jana Jakóba Rousseau, wracają zagrzebane w stuletniem pyle teorye hr. Józefa de Maistre, który kiedyś z taką samą pewnością siebie, jak dziś dr. Żmigrodzki gromił współczesnych etnologów, że starali się uzasadniać „banalną hypotezę o stopniowym postępie ludzkości od barbarzyństwa do cywilizacyi". Dziś tak samo dr. Żmigrodzki nie wierzy, aby z dziczy aryjskiej mogła się wyrodzić łagodność obyczajów, ale raczej sądzi, że na Aryów spadły demoralizujące wpływy dzikich ludów. Zkąd się wzięły te dzikie ludy? czy także jakimś innym demoralizującym wpływom wcześniej od Aryów uległy, czy

może jednocześnie na świecie z idealnymi Aryami prototypy dzikusów się wytworzyły? o to autora głowa nie zaboli. On po za Aryami nic nie widzi, nic wiedzieć nie chce, nie zapyta, skąd się ci Aryowie wzięli, czy nie tworzyli z innymi, owymi dzikimi szczepami jakiegoś dawniejszego pranarodu. Ostatnimi czasy wygłaszano nieraz na podstawie spostrzeżeń lingwistycznych poglądy, że nie jest niemożliwem przypuszczenie o pokrewieństwie językowem Aryów a Semitami a nawet z Turańczykami. Typ antropologiczny jednolity aryjski nie istnieje, lecz mamy tylko mieszaninę najrozmaitszych typów, wobec czego antropologia stwierdziła, że jedność językowa, a jedność pochodzenia plemiennego, to dwie rzeczy zupełnie różne, a dr. Żmigrodzki, o tem wszystkiem nie wiedząc, mówi o Aryach, jako o jednym szczepie, niejako ze wspólnych prarodziców biorącym początek.

Drugiem zadaniem charakteru etnologicznego, które autor w niniejszej książce usiłuje wyjaśnić, jest kwestya kupowania lub porywania żony. I znowu tutaj dr. Żmigrodzki nie zgadza się z powszechnie przyjętymi dziś przez etnologów poglądami, że im dalej wstecz się cofamy, tem mniejszą rolę w małżeństwie odgrywa dobrowolna zgoda lub niezgoda dziewczyny. Owszem, wydaje się, jakby dla niego wszelki przymus do wyjścia zamąż za niekochanego był dopiero wytworem wyższej kultury, z naciskiem bowiem powtarza, i„ w najpierwotniejszych plemionach czy to dziś żyjących, jak Australczycy, czy też takich, o których mamy wiadomości historyczne, jak dawni Erewlanie, wolna wola dziewczyny rzecz stanowczo rozstrzyga i rozstrzygała. To, co innym etnologom w obrzędach weselnych przedstawia się jako przeżytek dawniejszych realnych stosunków społecznych, dr. Żmigrodzki oświetla z własnego stanowiska. Było by to wielką jego zasługą, gdyby dowiódł tego, czego dowieść zamierzył, lub wreszcie, gdyby choć w pewnym stopniu uzasadnił swój pogląd odrębny, aby go można było uznać za prawdopodobną hypotezę.

Przystępując do tej sprawy, autor ani słowa nie wspomniał o ezoteryzmie i egzoteryzmie i o wielu innych zagadnieniach, wiążących się bezpośrednio z rozpatrywanem przez niego pytaniem, lecz, jak to zaraz zobaczymy, załatwia się z tem w sposób najprostszy i dla siebie najwygodniejszy: zmienia zdanie, waha się, zbywa rzecz tyle czasu, aby wreszcie wydać ostateczny wyrok o tyle bardziej stanowczy, o ile mniej przez czytelnika spodziewany. Stosuje się to przedewszystkiem do przypuszczalnych tradycyj kupna, bo w sprawie porywania żon autor ma już z góry więcej ustalone poglądy. Więc gdy swat chodzi po wsi, szukając dziewczyny, a pytając o jałoszkę, autor mówi: „To prawda, że myśl kupna jest tu najbliższą, ale to jeszcze nie jest tradycyą kupna“. Dalej pisząc, że pan młody płaci, kładąc pannie młodej cztery monety: na trzewiku, na kolanie, na ramieniu i na głowie, dr. Żmigrodzki stawia tylko pytanie bez odpowiedzi: „Czyżby to było pozostałością handlu kobietami? Czy on był kiedy u nas? Płacenie pieniędzy po oczepinach jest znowu „bardziej wyłudzaniem pieniędzy od weselników, a szczególnie od pana młodego, który w tym dniu jest drzewem, z którego łyko daje się drzec, więc ludzie drą, a zawsze na rachunek panny młodej“. Na-

stępnie znów czytamy: „Jest jeszcze jeden ślad rzeczywistej sprzedaży dziewczyny, i to w tym charakterze, jak to widzimy u wielu ludów półdzikich, gdy dziewczyna za cześć sobie uważa jej wielką cenę: droż się, tatulu, droż! żądaj 100 czerwieńców, wtedy mię młodą oddasz. Pomijając tę jedną tradycyę wyjątkową (autor już zapomniał o kładzeniu pieniędzy na osobie panny młodej), wszystkie inne trzeba nazwać zabawami na tle domowego gospodarstwa z myślą o bydlątku". Wreszcie czytamy: „Sądzę, że zestawione tu fakta świadczą jak najjawniej, że ze sprawą tradycyj o przedawaniu panny młodej mężowi trzeba być u nas, co najmniej, ostrożnym, a stanowczo zaprzeczam rodzimego im charakteru". Po tym wyroku, wydanym na str. 94 autor jeszcze przy sposobności wraca do tegoż przedmiotu, pisze więc na str. 104: „W analogii ku temu (!) trzeba również powiedzieć — kto widział starającego się, któryby przynajmniej jabłko czy gruszkę (!) nie przyniósł rodzicom ukochanej lub też i jej samej? Czyż każdy podarek uważać za przeżytek kupna? Więc i cała rodzina ją kupuje, bo jej podarki dają i robią składki na nią". Nawiasem tu trzeba zauważyć, że kupno dziewczyny nie przez zalotnika, ale przez całą rodzinę, czy ród jego nie jest czemś niesłychanem, jak to się autorowi zdaje. Gdy młody na Rusi wykupuje siostrę od braci a chór wtedy nazywa brata tatarem, który siostrę sprzedał za talar, autor dodaje: „Tu mamy jawny dowód przyjęcia tego z obczyzny" (str. 159). Gdy według rytuału południowo słowiańskiego pan młody wypłaca przy weselu pieniądze, te według autora „nie są wcale ceną kupna, lecz wprost przymusowym podarkiem", ponieważ suma ołpacana jest zależną od ilości krewnych, a przeto w każdym wypadku się zmienia. Natomiast o ile nie chodzi o Słowian, autor łatwiej godzi się z obyczajem sprzedawania kobiety mężowi: pisząc na str. 170 o rzymskiej formie zaślubin, zwanej „Coemtio", gdy po uiszczeniu pewnej zapłaty ojcu prawa jego za córkę (do córki?), które były bezgraniczne, przechodziły na męża" wiadomości tej nie zaopatruje w żaden komentarz, choć przecież Rzymianie byli Aryjczykami". Toż samo dotyczy Grecyi str. 273): „Dawniej był zwyczaj, że młody płacił ojcu, lecz od Solona ten zwyczaj się zmienił i młoda dostawała posag". oraz w czasach nowożytnych (str. 291): „tylko w najmniej cywilizowanych Majnotów jest zwyczaj płacenia za narzeczoną'. Więc autor godzi się z obyczajem kupna dziewczyny, o ile to dotyczy niesłowiańskich plemion, Słowianie jednak, choć z temi plemionami mają wspólne pochodzenie, takich brzydkich rzeczy nie praktykowali, dopóki od Tatarów się tego nie nauczyli.

Podobne jest stanowisko autora w sprawie porywania dziewcząt po zwykłych wahaniach i zapytaniach bez odpowiedzi, „co tu rodzime, co naleciałe", autor zdaje się skłaniać, że Aryowie może porywali dziewczęta, choć dodaje do tego znaczące zastrzeżenia: „Nawet muzułmanin Arya zapytuje kobietę, czy pozwala siebie chwycić przemocą. W tem widzę dowód, że jeżeli nasze plemię Aryów było kiedyś tak dzikie — co wcale nie jest koniecznością — że jego stotunki płciowe były najzupełniej zwierzęce (!) na przemocy i gwałcie oparte, to stan ten był gdzieś tam w tak niezmiernie dalekiej pzeszłości, że nawet obce wpływy w tym kierunku nie mogły w duszy naszej obudzić wspomnienia

tego charakteru". W innem miejscu jednak (str. 185) autor upewnia, że rzeczywiste porywanie mamy tylko u muzułman, południowych Słowian, wskutek wpływu Turków. Natomiast gdy chodzi nie o Słowian, autor zaznacza fakt, nie powołując się na wpływy obce: mówiąc o Włoszech, uznaje, że „porywanie dziewcząt nie jest rzeczą rzadką" (str. 276), a także o Grecyi: „Są także ślady rabunku kobiet, jak to tłumaczą niektórzy uczeni" (str. 291). To negacyjne stanowisko autora wypływa widocznie stąd, że istotnem porwaniem w jego oczach może być tylko takie, które bez żadnej zewnętrznej przyczyny się praktykuje jako obyczaj, jako rzecz tak sobie powszechnie przyjęta. Pisze on bowiem: „To się rozumie, że jeżeli młodzi wzajemnie się bardzo pożądają, a rodzice nie chcą zezwolić, to albo on ją porywa, albo ona do niego ucieka — to wcale nie jest przeżytkiem, to rzecz odwieczna a codzień nowa. Przed kilku laty taka para uciekła z Paryża automobilem, a telegrafem dała znać o swoich zamiarach... Dziewczyna jest córką całego rodu... Dajmy na to, że ród przeznaczył ją dla kogoś upatrzonego..." junak odrzucony przez ród porywa ją... jej ród zerwie się na koń, poleci za nim i t. p. (str. 186). Zapytam teraz autora, czy nie przypuszcza, żeby stosunki takie, które dziś do wyjątkowych należą, a nawet już w starożytności dość odległej takiemi były (por. np. podanie o porwaniu Sabinek), nigdy i nigdzie nie trwały przez czas dłuższy? Sam autor uznaje, że dziewczyna może należeć do rodu i ten naturalnie chce ją zatrzymać dla siebie, uznaje też że i bogowie rodowi mieli do niej prawo (str. 289) to więc co później stało się niejako udawaniem wobec rodu a naiwnem oszustwem wobec bogów (t. j. udawanie gwałtu), zawsze takiem tylko pozorem być miało? Jeżeli tylko uznamy prawo rodu i bogów rodowych, musimy konsekwentnie uznać, że początkowo ani ród dobrowolnie nie godził się nigdy na oddanie dziewczyny ludziom cudzym z obcego rodu, ale ta musiała być porwana gwałtem, co potem przy złagodzeniu sprzeczności rodowych zastąpiono przez odszkodowanie czy kupno; ani bogów nie starano się oszukać, dopóki właśnie nie utrwalił się obyczaj kupna; gdy ten nastał, ród pocieszał się zapłatą, a bogowie zadawalniali się odgrywaną przed nimi komedyą. Taka sama ewolucya od gwału do zapłaty dokonała się w innej dziedzinie stosunków społecznych, mianowicie w obyczaju wróżby. Gdyby autor zechciał historyę małżeństwa badać w związku ze stopniowem rozluźnianiem się organizacyi rodowej, znalazłby mnóstwo dowodów, zbijających jego tezę. On wolał jednakże uciekać się do takich ogólnikowych uwag jak następująca: „Co w fakcie rabunku jest takiego, coby lud mógł otoczyć religijnym pietyzmem i wcielić do rytuału kultowego? Poco bawić się w symbolizowanie sprawy w tym wieku, w którym tę sprawę można najrealniej i najbrutalniej praktykować? (str. 285). Tu już dr. Żmigrodzki zapomina i o potrzebie tej komedyi wobec bogów, i o tem także, iż wszelkie inne obrzędy z tego punktu widzenia byłyby nieusprawiedliwione, a przecież jest miedzy nimi mnóstwo takich, których ani etnolog żaden, ani sam lud nie rozumie, a mimo to pozbywa się izh wbrew wpływom kultury kosmopolitycznej badzo powoli. Dr. Żmigrodzki całe pół rozdziału (str. 94—104) poświęca zupełnie zbytecznym dowodzeniom, że porwanie następuje tylko wtedy, gdy odbywa

się bez zgody dziewczyny, a to nigdy nie zachodzi. Najprzód bowiem taki pogląd na porwanie jest zbyt ciasny: porwanie jest gwałtem popełnionym na właścicielu rzeczy porwanej; porwanie gwałci prawa rodziny, rodu, plemienia, ale nie koniecznie prawa osoby porwanej. Powtóre autor swojej tezy, i w tym wypadku fałszywej, broni w sposób doprawdy zabawny. Na str. 97 czytamy: „Idźmy w lasy Australyi. Dziewczyna ucieka w las, i to rzecz wiadoma, że gdy nie chce być złapaną, to i nie będzie. Gdy mężczyżna ją dopędza, bije maczugą po głowie, ona pada zemdlona... oto oświadczyny, zaręczyny i ślub. Z omdlenia budzi się mężatką i niewolnicą. Oto jest szereg obrazów, których główną treścią junactwo, nadmiar sił młodzieńczych, które w ten lub inny sposób muszą wykipieć". Powtórzę tu za drem Żmigrodzkim pytanie: Co w tej ceremonii ślubnej podoba się dziewczynom australskim, tak, że bawią się w takie symbolizowanie sprawy, która może być załatwiona w sposób mniej brutalny?

Pozatem dr. Żmigrodzki niektórymi szczegółowymi poglądami wprawia czytelnika w zdumienie: przedewszystkiem na str. 65 wzbogacił mitologię słowiańską nowym bogiem, który nazywa się Pokuć; na str. 135 przypisuje nazwie „kniaź" znaczenie głowy rodu, „bo Orest Miller profesor starorosyjskiej literatury w Petersburgu wyprowadza tę nazwę z sanskrytu (!) od rdzenia gan (!), znaczy: rodzić; (dla nielingwistów dodaję objaśnienie, że wyraz ten jest zapożyczony z niemieckiego: kuning). Ale nietylko wyrazy słowiańskie wywodzi autor za Orestem Millerem z sanskrytu, lecz także i panteizm, „który jest główną zasadą mitologij wszystkich ludów naszego plemienia" wyprowadza z Indyj, a i naszą praaryo-europejską ojczyznę upatruje w gorących krajach Wschodu, stwierdzając to następującą uwagą: „przypatrzmy się, ile w naszych północnych rytuałach jest wspomnień ciepłego klimatu, które byłyby dziwactwem niezrozumiałem, jeżelibyśmy ich nie wzięli ze wspomnienia starej siedziby na Wschodzie". Przypatrywałem się tym rytuałom, ale nic się dopatrzeć nie mogłem, natomiast wiem, jakie mnóstwo dowodów przemawia za tem, że praojczyzną aryjczyków nie był kraj ciepły, lecz raczej chłodny a przynajmniej umiarkowany. I pod tym więc względem dr. Żmigrodzki pozostaje w niezgodzie z nowszemi wynikami nauki.

Do przeglądu rytuałów aryjskich autor wciąga także rytuał estoński, gdyż w Estonii, jako w kraju, otoczonym przez siedliska Aryjczyków, zachowała się pewna ilość zapożyczonych od Słowian zwyczajów, gzieindziej w Słowiańszczyźnie zagubionych, a co najmniej, zatartych. Ponieważ jednakże nie przytacza zarazem czystego rodzimego rytuału fińskiego, przeto ani czytelnik, ani sam autor nie ma podstawy do ocenienia, które zwyczaje estońskie, różniące się od słowiańskich, są pochodzenia słowiańskiego, które zaś wytworzyły się na rodzimym fińskim gruncie. Z tej przyczyny i ten rozdział, jak i wszystko inne, o czem była dotychczas mowa, okazuje się zbytecznym w książce, której zadaniem było tylko zestawienie materyału, dotyczącego ludów sławiańskich i innych aryo-europejskich. Natomiast brak jest rytuałów: skandynawskich z duńskim, hiszpańskiego z portugalskim, albańskiego, ormiańskiego, cygańskiego, które dla pełności obrazu rytyałów aryjskich znaleść by się tu powinny.

Zobaczmy teraz, jak autor wywiązał się z tej części zadania, którą wykonał dobrowolnie, a nie wbrew swojej woli. Zamierzył on dać nam zestawienie materyału według ludów. Do pierwszych dwu rozdziałów zebrał ten materyał bardzo pracowicie z szeregu opisów weselnych polskich i ruskich, ogłoszonych przez Kolberga, Glogera, Gołębiowskiego, Federowskiego, Czubińskiego, Krakowską Akademię Umiejętności, redakcyę „Wisły“ i t. d. Inne rozdziały mają przeważnie lub wyłącznie charakter kompilacyjny, co jest rzeczą zupełnie naturalną i słuszną. W pierwszych dwu rozdziałach autorowi chodziło o to, ażeby połączyć w jednym obrazie wszystkie obrzędy weselne praktykowane w różnych miejscowościach według następujących po sobie stadyów wesela od zalotów aż do końca uroczystości. Mamy tu więc opisane: zaloty, zmówiny i zaręczyny, chleb obrzędowy, dziewiczy wieczór, wyjazd na ślub, ślub w kościele, powrót od ślubu, ucztę weselną i zabawy, oczepiny, pokładziny i przenosiny. Po każdym nawet mniejszym ustępie autor zaznacza, z których materyałów korzystał, przeto w większości wypadków można nawet wiedzieć, w jakich poszczególnych okolicach pewne zwyczaje bywają zachowywane. Zdawało by się przeto, że tu już nic nie znajdzie się do zarzucenia.

I znowu muszę powiedzieć: niestety! Jakieś fatum podsuwa drowi Żmigrodzkiemi nieszczęśliwe pomysły, które najlepiej zamierzoną pracę psują. Właśnie rozdział pierwszy, dla nas najciekawszy, a noszący zagłówek: „rytuał polski“ rozpoczyna autor zdaniem następującem: „Ten pierwszy rozdział uważam za odnoszący się nietylko do Rusi (!) i Polski, ale w ogóle do Słowiańszczyzny, bo duch jest jeden i ten sam wszędzie a podobny w całem naszem plemieniu Aryów“. I istotnie zamiast rytuału polskiego mamy tu mixtum compositum obrzędów polskich, najzupełniej poplątanych z białoruskiemi i małoruskiemi. Co chwila spotykamy tu wyraz ruski, obyczaj ruski, często wcale nie zaznaczany jako ruski, bo przecież duch jest jeden w całej Słowiańszczyźnie! Jakaż racya wobec tego skłoniła autora do poświęcenia osobnego rozdziału rytuałowi małoruskiemu, osobnego znów — wielkoruskiemu i innym słowiańskim? Każdy inny, choć traktowany krócej, stanowi jednolity obraz etnograficzny, jeden tylko polski wyszedł mocno zabarwiony elementem ruskim i to tak skutecznie, że przedstawia materyał prawie zupełnie nieużyteczny dla dalszych badań. Tu już autor samochcąc zepsuł własne dzieło.

Gdyby dr. Żmigrodzki, zamiast przetłumaczenia tej książki na język francuski lub niemiecki, jak to zapowiada, zechciał przerobić ten sam pierwszy a następne napisać według tego, jak zapowiedział, t. j. zestawić materyał systematycznie według obszarów ściśle etnograficznych, oddałby wielkie usługi naszej nauce. W końcu jeszcze dodam, że i język autora, jak to zresztą widać z przytoczonych przeze mnie cytat, nie odznacza się poprawnością.

Jan Łoś.

Revue des Études Ethnographiques et Sociologiques, publiée soas la directon de Arnold van Gennep. Paris, Librairie Paul Geuthner. 68 Rue Mszarine. Styczeń-Luty 1908. Stron 1—128.

Tytuł nowego pisma określa dostatecznie zamierzoną treść jego, Prócz rozpraw REES obejmować będzie opisu przedmiotów, krótkie zawiadomienia, korespondencye, biografię, wiadomość o osobach, instytucyach, kongresach i t. p. Program podnosi, że dopuszczone będą m. in. prace z zakresu archeologii, prawa porównawczego, nauki o religiach, historyi sztuki". Śledzić będziemy — czytamy również — ile możności dokładnie ruch naukowy w krajach słowiańskich, prace rosyjskie, polskie, czeskie, ruskie, bułgarskie i t. d., ponieważ brak organu francuskiego, któryby je oceniał zgodnie z ich wartością". REES wydawane będzie w języku francuskim. ale wolno również nadsyłać artykuły angielskie, niemieckie i włoskie. Listy i rękopisy adresować należy: M. A. van Gennep, 56 rue de Sevres, Clamart pres Paris, Seine (France); książki, pisma, druki i pieniądze do księgarni Genthnera. Redakcya płaci honorarya 1 fr. 25 za stronę, a autorzy otrzymują 25 odbitek z rozpraw, 10 zaś z krótkich zawiadomień. Prenumerata 20 fr. rocznie, a 22 fr. za granicą. W pierwszych dwu zeszytach REES znajdujemy pracę J. G. Frazera z Cambridge p. t." St. George and the Parilia", wyjętą z pozwoleniem firmy Macmillan i Sp. z III wyd. „Golden Bough" tegoż autora: jest to zestawienie starorzymskiego święta pasterskiego Paliliów (21 kwietnia) z wschodnioeuropejską uroczystością św. Jura (23 kwietnia). P. Maurice Delafosse z Wybrzeża Kości Słoniowej opisuje lud Siena albo Senufo. P. Karol Boreux przedstawia badania swoje nad garnkami Egiptu przeddynastycznego; Andrew Lang zamieścił artykuł o egzogamii, a Gabriel Ferrand z Sztutgardu o kalendarzu Malgaszów na Madagaskarze. Nadto rozbiory krytyczne, bibliografia i przegląd przeglądów.

Tad. Smol.